

TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 26. **Poznań, dnia 25 czerwca 1870.** **Rok II.**

Od Redakcyi.

Przy nadchodzącym trzecim kwartale, upraszamy Szanownych abonentów Sobótki o odnowienie przedpłaty na kwartał przyszły i życz iwe popieranie naszego pisma.

Wojna o pannę.

Obrazek z małomiejskich stosunków Wielkopolski

skreślił

....

(Ciąg dalszy.)

„Panowie, obywatele, bracia!... Trzy są chwile w życiu człowieka niezwykłą napiętnowane ważnością, trzy chwile, na których całe życie, jak na żelaznych, że tak powiem, spoczywa kolumnach, trzy chwile, które najdłuższe nawet lata istnienia naszego jakby wstęgą opasują do koła, trzy chwile od których zależy, na których opiera się wszystko!... Któż z was panowie, nie pojął myśli mojéj?... Któż z was nie odgadł, że pierwszą z tych chwil ważnych jest chwila, w którój promienie słońca oczy nasze poraz pierwszy uderzą, w którój płaczem witamy ten padoł zgryzot i nieszczęść, w którój żyć i cierpieć zaczynamy... Któż z was nie odgadł panowie, że drugą chwilą jest chwila, w którój serce nasze kochającego zapragnie serca, w którój szukamy wspólniczki bólów i radości naszych, w którój losy nasze do losów wybranéj przykuwamy istoty... Któż z was wreszcie nie odgadł, panowie, że ostatnią z chwil tych jest chwila, w którój z uśmiechem spokoju, lub krzykiem rozpaczy na ubiegłe spoglądamy życie, w którój słońce, gwiazdy, ziemia i świat cały znika przed nami, w którój nam się podwoje niebieskie, lub piekielne otwierają bramy... A któraż z chwil tych jest najpiękniejszą i najmilszą? — pytam was panowie. Odpowiecie zapewne chwila środkowa, chwila małżeńskiego związku i bystry wasz umysł nie omyli bynajmniéj. Tak jest panowie, chwila ta jest najpiękniejszą. Świeci jak gwiazda na ciemnéj drodze żywota, rożami obsypuje ciernie téj drogi, a skwarny jéj piasek orzeźwiającą pokrapia rosą... Obywatele!... przed chwilą byliśmy świadkami téj ważnéj chwili, téj chwili uroczystéj... w umysłach naszych widzimy jeszcze młodą parę, wiecznemi skojarzoną węzłami. Panowie!... jak kielich ten pełny, tak i serce moje pełne rzewnego ku niéj uczucia, jak wino to czyste i jasne, tak czyste i jasne uczucie moje... Chciałbym w obecności waszéj wznieść zdrowie nadobnéj pary, zdrowie najzacniejszego przyjaciela naszego, szanownego pana Tomasza, ale zdrowie to spełnimy dziś jeszcze we własnym jego domu, w obec państwa młodych i szanownéj tychże rodziny. Teraz więc pozwólcie mi panowie w chwili tak uroczystéj, w gronie tak zacnych obywateli, z których niejeden już dorosłe posiada syny i córki, wypić zdrowie męża, który nam pierwszy od

dnia dzisiejszego tak miłą i uroczystą chwilę radośnie obchodzić pozwoli!...“

Jak widzimy, p. Filip miał wszystkie klepki w ogromnéj swéj głowie. W rozmowach z okolicznėm i przejezdném obywatelstwem, w obcowaniu z ludźmi wyższe posiadającymi wykształcenie, nabrał nie mało ogłady towarzyskiéj, nie mało nauki i zręczności w stylistycznėm, a górnolotném wysłowieniu. Posiadając przytem wiele dowcipu i naturalnego rozumu lubił się popisywać wymową, przy każdéj sposobności palił mówki w których obok pompatycznéj przesady, zdrowe chociaż zwyczajne mieściły się myśli.

Mowa pana Filipa wielkie na słuchaczach zrobiła wrażenie. Milczenie panowało przez chwilę. „Brawo!“ zawołał nosowo pan Susełka, puszczając obojętnie kłęby wonnego kanastru.

„Brawo, brawo, niech żyje, niech żyje!“ posypało się z wszystkich stron i szanowni obywatele miasteczka D., pełne uchwyciwszy kielichy, śmiejąc się rozpromienionego otoczyli gospodarza. Pan Susełka ziewnął i raczył podnieść się z krzesła; pan Walenty nie ruszył się z miejsca, nie odłożył nawet Dziennika.

„Panie Filipie!“ zawołał słodkim i spokojnym głosem Piórkiewicz, biorąc kieliszek ze stołu, „zdrowie przez ciebie wzniesione wszyscy, jak widzisz przyjmują z ochotą. Pozwól jednakże, że chociaż wieszczym nie obdarzony duchem, takowe prosto do téj skieruję osoby, któréj podług wszelkiego prawdopodobieństwa słusznie się należy. Panowie, niech więc żyje ksiądz proboszcz!“...

„Ha, ha, ha!“, zaśmiał się pan Filip, wychyliwszy kielich do kropli, „filut, jak Boga kocham, filut!...

„Filut, filut“, powtórzyli spokojniéj nieco obywatele, zimno spoglądając na Piórkiewicza.

„A któż to panu powiedział“, ciągnął dalej uradowany pan Filip, „że nas ksiądz proboszcz najpierw na weselisko zaprosi? Alboż to pan Łyczek ładnéj nie ma córeczki, a u pana Szydełki czyliż to aż trzy panny nie są na wydaniu, a czyż to tu obok nie mieszka pewna czarnobrewa, wesoła, figlarna czarownica, co to wszystkim chłopcom łby pozawracała?... Ha, ha, ha, sąsiadku“, zawołał, klepiąc pana Walentego po ramieniu i pełen podając mu kieliszek, „u was potańczymy nasamprzód, jak Boga kocham, u was!...

Pan Walenty kiwnął głową i, nie przerywając czytania, nietknięty kieliszek postawił na oknie.

„Tak, tak u pana Walentego!... Niech żyje pan Walenty!“ chórem zawołali goście

„Panowie!“ słodko i spokojnie odparł Piórkiewicz, „co powiedziałem, dostatecznie jest uzasadnionem. Dzisiaj właśnie tydzień, jak mi oświadczył gorzelany z Kwiatkowa, że się o względy panny Zofii starać zamyśla; młody rządzca z Pogniewic częstym jest gościem u proboszcza, a pan Szyszkiewic z Grabinek lada dzień ze swym synem w oświadczyny przyjedzie...“

„Co, ten szachraj?“ krzykrął pan Susełka.

„Ten kutwa... procesowicz, grubijanin“, oburzone odezwały się głosy.

„Nie inaczéj, panowie“ spokojnie ciągnął Piórkiewicz, „Czyliż z was nikt nie uważał, jak jego synek codzień na swym wierzchowcu wałęsa się w tych stronach?... Czyliż nikt z was nie widział, jak dzisiaj w kościele miłośnie na pannę Zofiją spoglądał?... A chłopak może się podobać, nie przeczę. Przystojny, wykształcony, bogaty, — a krew u dziewczyny nie woda!“

„Ale niegodziwiec, ale oszust, sknera!“, posypało się ze stron wszystkich.

„Szkoda dziewczyny, szkoda dziewczyny!“ westchnął pan Kozik.

„Taka ładna, przyjemna“ zawtórował pan Wybierkiewicz.

„I edukowana“, wtrącił pan Szydełko.

„I grosiwa nie mało!“ zawołał pan Łyczek.

Pan Susełka puszczał obojętnie kłęby dymu i wzruszał ramionami. Pan Walenty czytał Dziennik.

„Anielska dusza!“ jak najsłodszym głosem westchnął Piórkiewicz „anielska dusza wyższym obdarzona polotem, zwiędnie jak kwiatek na niewdzięcznéj niwie, uschnie jak ziarno na skale!...

„Nie puścimy jéj z obrębu naszego miasta!“ przerwał pan Wybierkiewicz.

„Panowie, panowie!“ ciągnął daléj pan Kozik, żwawo gestykulując rękoma. „Jest to powinnością naszą, tak, świętą i honorową powinnością panowie, abyśmy Szyszkiewiczowi, który już raz panowie, niegodne nad nami odniósł zwycięztwo, który nam wydarł kawał naszéj roli, w sposób najniegodziwszy, tą razą przynajmniéj tryumfować niepozwolili. Panowie!... niech żyje solidarność!... W imie téj solidarności, którą się dotychczas tak chwalebnie rządzimy, zaklinam was, panowie, nie pozwólmy, aby jedna z najpiękniejszych ozdób naszego miasta w nieprzyjazne dostała się ręce. Czyliż to i u nas niema dorodnéj, wykształconéj i zamożnéj młodzieży?... Czyliż którykolwiek z naszych synów, panowie, niegodnym jest ręki téj panny?“...

„Brawo, brawo.. Niech żyje solidarność!... Niech żyje pan Kozik!“ zawołano dumnie i wesoło.

„Panowie!“ zabrał głos Piórkiewicz z widoczną radością na twarzy. „Zdanie pana Kozika podzielam najzupełniéj. Z jednéj strony byłoby to dla nas hańbą, gdybyśmy Szyszkiewiczowi poraz drugi tak znaczne uczynili ustępstwo, z drugiéj zaś wielkim obciążylibyśmy się grzechem, gdyby anielska ta dusza w kale niegodziwości pogrążyć się miała, gdyby wyższy polot jéj myśli ku brudom téj ziemi skierowanym miał zostać. Do ciebie więc szczególniéj zwracam się, szanowny gospodarzu i do ciebie szanowny panie Walenty, w imieniu wszystkich miasta naszego mieszkańców. Synowie wasi od dawna starają się o względy panny Zofii; nie sądzę aby zupełnie dla nich być miała obojętną, aby ksiądz proboszcz cośkolwiek zarzucić im zdołał, — niechaj więc teraz podwoją staranność swoją i groźnego ubiegną przeciwnika. Przemowę Piórkiewicza, grobowém przyjęto milczeniem. Pan Susełka obojętnie nakładał fajkę, pan Kozik uśmiechał się ironicznie, pan Walenty odłożył Dziennik i ponuro patrzał przed siebie. Pan Filip zaśmiał się serdecznie, pogładził łysinę i skwapliwie kieliszki napełniać rozpoczął.

„Dobrze mówi, dobrze mówi!“ przebąkiwał do siebie. „Coby to za huczne było wesele!... A jaki obiadek wystawiłbym nazajutrz!... Od lat dwudziestu sto butelek węgrzyna przechowuje w tym celu, a i szampan byłby wyborny!“...

Twarze szanownych gości rozjaśniały się zwolna.

„Już to rzecz pewna“, odezwał się pan Majcher, że Kubuś pana Filipa łepski chłopak. Nie jednéj z naszych panien głowę zawróci!“...

„Zapewne, zapewne“; przywtórzono chórem. Pan Walenty zmarszczył się straszliwie.

„Główna rzecz“, zawołał Piórkiewicz „zgodnie i uczciwie!“... Niechaj żaden ze zalotników drugiemu nie szkodzi, niechaj dołków pod nim nie kopie, niechaj pannie wolny pozostawi wybór, w przeciwnym bowiem razie Szyszkiewicz łatwe odniesie zwycięztwo.“

„Panie Walenty!“ z rozczuleniem zawołał pan Filip, klepiąc go poufale po ramieniu „Kochany, drogi sąsiadku!... cieszyłbym się, jak Boga kocham, cieszyłbym się z duszy i serca, gdybyś twojego syna tak świetnie zdołał ożenić. Widzi Bóg, że tylko o honor miasta, nie o własną korzyść mi chodzi. Ot, sąsiadku, uściskajmy się serdecznie, wypijmy na świętą zgodę, a ja jutro jeszcze zamiary twoje proboszczowi przedłożę.“...

Szmer podziwienia i pochwał rozległ się wśród gości.

„Dziękuję, bardzo dziękuję“, ostro zawołał pan Walenty, „ale łaskawych chęci przyjąć nie mogę. Niechaj każdy swojego pilnuje nosa, a najlepiéj na tém wyjdziemy.“

„Zawsze niecierpliwy, zawsze impetyk!“ z uśmiechem westchnął pan Filip.

„Impetyk, czy nie impetyk“, groźno odparł Walenty „cóż wam się mięszać do tego?... Nie potrzebuję pośrednictwa, kwituję z przyjacielskich usług, sam sobie najlepiéj dogodzę. W ogóle, zawołoł głośniéj i popędliwiéj, „poco wam domowe publikować sprawy?... poco się pytać o to, kto i z kim się pobierze?... Wam mores do mojego syna i do jego ożenku. „Jak ja chcę, tak się stanie, a nie jak mi ktoś inny podyktuje!...“

„Ależ to sprawa publiczna!“ słodko odezwał się Piórkiewicz.

„Gadaj pan zdrów, panie nauczycielu“, niecierpliwie odparł Walenty, starego wróbla nie złapiesz na plewy. Alboż ja nie wiem, że się pan starasz o posadę w powiatowém mieście i dla tego wszelkiemi sposoby podchlebiasz się księdzu, aby ci miejsce to wyrobił?... Proboszcz nie lubi Szyszkiewicza, a więc i pan powstajesz na niego i to publicznie, otwarcie, aby całe miasto o twéj gorliwości mówiło i proboszcz się o niéj dowiedział jak najprędzéj. Albo to pan szczerze mówisz o naszych synach?... Pan wiesz jakiem okiem ksiądz proboszcz na nich spogląda i śmiejesz się w duszy z konkurentów, którzy przestraszyć tylko i odpędzić mają Szyszkiewicza. Alboż to pan Filip szczerze pomówić chce za mną?... alboż mi to przy sposobności porządnych nie uszyje butów?... Znam ja się na farbowanych lisach i raz jeszcze kwituję z téj przyjaźni!...“

To mówiąc rozsierdzony pan Walenty nacisnął czapkę na uszy, trzasnął drzwiami i mrucząc podążył do domu.

Wśród gości grobowa panowała cisza. Pan Susełka pogwizdywał wesoło, pan Kozik wzdychał i znacząco potrząsał głową, pan Wybierkiewicz zapatrzył się w posowę, pan Majcher uważnie badał spód swego kieliszki, pan Łyczek wziął Dziennik przed siebie, Piórkiewicz mocno zmięszany zajął miejsce przy oknie, pan Filip do szlacheckiéj powędrował izby i pozostałym gościom wesołą opowiadał facecyjkę, w gronie obywateli znowu zapanował smutek i niemiłe milczenie, niekiedy cichym przerywane szeptem, i szanowne towarzystwo powoli, rozeszło się do domów.

Tymczasem w białéj izdebce Zosienki znowu boleść, znowu łzy ciche Biedne dziewczę, przestraszone nagłym i nieostrożnym przyjazdem kochanka, z ciężkiem sercem, smutną twarzyczką stanęło przy oknie i z poza zielonych mirtu gałązek, z poza kosmatych róży pąkówek łzawą źrenicę wodziło po jasném niebie i po widnym zdaleka cmentarzu. Posępną jéj zadumę przerwał śmiech głośny i pusty i, zanim chusteczką ślady łez otarła, już na progu izdebki z piosneczką na ustach, wesoła jak ptaszek ukazała się Kachna.

„Cóż to? zawołała z zadziwieniem, „żadnych jeszcze przygotowań do wesela?... Przecież najpóźniéj za godzinę na miejscu być musisz!... Czyś ty przypadkiem nie chora, Zosieńku?... Ty płaczesz?...“ zapytała, przystępując bliżéj i troskliwie przypatrując się jéj twarzy.

Zosia, w miejscu odpowiedzi, zaprowadziła ją do okna palcem wskazała ku stronie, gdzie na cmentarzu, nad grobem matki, pod cieniem płaczącéj wierzby stał Staś zasmucony i nieśmiało ku oknom swéj lubéj spoglądał.

Kachna uśmiechnęła się swawolnie i, całując różowe usta przyjaciołki, słowami pociechy żal jéj utulić się starała.

„Nie płacz, nie płacz, Zosiuniu!“ mówiła z przymileniem „przecież do téj chwili, Bogu dzięki, żadnéj nie doznałaś przeszkody. Tylko odwagi, odwagi!... Powiedz proboszczowi po prostu: „Staś będzie moim mężem, albo nikt inny!“... Niechaj on równie szczerze z ojcem się rozmówi, a zobaczysz, że obadwaj opierać się nie będą.“

Zosia z niedowierzaniem potrząsnęła główką. „A twój brat, a Kubuś!“ szepnęła po chwili, nie chcąc bliżéj tłómaczyć swéj myśli.

„E, cóż głupi Bałabartek!“ pogardliwie zawołała Kachna. „Powiesz mu, że go nie kochasz i kwita. A z Kubusiem ja już się uprzątnę!“ dodała z tajemniczą minką.

„Ty?... W jaki sposób?“ zadziwiona zapytała Zosia.

„Nie pytaj mnie o nic“ z wyrazem pewności odpowiedziała Kachna.

„Przypatruj się tylko uważnie, a domyślisz się całéj tajemnicy. Tymczasem otrzyj łezki, wypogódź twarzyczkę, ubierz się jak najspieszniéj, bo musisz być dzisiaj bardzo wesołą i czarującą.“

To mówiąc, swawolna dziewczyna posadziła ją gwałtem przed zwierciadłem i bogate sploty jéj włosów w urocze choć proste układać zaczęła kształty. Zosia spojrzała w zwierciadełko, uśmiechnęła się do swéj ładniutkiéj twarzyczki, promyk nadziei wstąpił w jéj serce, czoło rozjaśniło się powoli i pod wpływem gadatliwéj Kachny, wrzeszczącego w klatce kanarka, pod wpływem jasnych i ciepłych promieni złotego słonka, dziewczyna dobréj nabrała otuchy, rozszczebiotała się na dobre i z widoczną chęcią podobania się jasną główkę wonnemi ozdobiła kwiatami... ale nie dla naszych to oczu tajniki panienskiéj toalety!...

Gry*).

Rzeczą godną jest uwagi, że nigdy człowiek niema czasu w samą miarę.

Albo go ma zanadto, albo zamało i musi nieraz pracować albo nad przysporzeniem sobie, albo nad zabiciem czasu.

To nawet rozróżnienie starczy na uczynienie najdoskonalszego podziału pomiędzy ludźmi i w pewnym względzie lepiéj rzecz określa, aniżeli producenci i konsumenci ekonomii politycznéj.

Nie chcemy tu powtarzać wiadomego wszędzie ogólnika, że najlepszém, najkorzystniejszém, najmilszém nawet z użytkowaniem czasu jest praca.

Ale jak z jednéj strony nie podobna ciągle pracą się zajmować, i wyjątkowe tylko organizmc, albo żelazne charaktery starczą na ciągłe naprężenie sił ducha i ciała, tak z drugiéj znów są ludzie, którym albo położenie towarzyskie, albo wreszcie i najczęściéj opieszałość i wstręt do każdego bardziéj nużącego zajęcia, przysparzają dużo czasu z którym na prawdę nie wiedzą co począć.

Otóż pomiędzy różnemi sposobami na zabicie czasu wymyślonemi, jedno z pierwszych miejsc gry trzymają.

Gry nie są wcale nowożytnym wynalazkiem, istniały one w różnych kształtach od najdawniejszych czasów i były zawsze ucieczką od nudów, rozrywką, a często namiętnością człowieka, odkąd począł się wiązać w społeczeństwo. Dzikie ludy nawet mają swoje gry i oddają się im. Tak przeważnie panująca w ludziach chęć zysku zrobiła z gier jeden z głównych czynników namiętności ludzkich. Począwszy od mieszkańca niebieskiego państwa, który straciwszy cały dobytek, stawia na kartę własny nos lub ucho, i z najzimniejszą krwią jako rzetelny płatnik pozwala je sobie odcinać wygrywającemu, do owych rozpustników włoskich, którzy los swój, kochanek, ba i żon nawet, czynili zależnym od jednego rzutu kości, gry wszelkiego rodzaju istnieją we wszystkich epokach i pod każdą szerokością i długością geograficzną.

Historya więc gier, ani charakterystyka ich ogólowa w stosnnku do usposobienia rozmaitych narodowości i cywilizacyi, nie wchodzi wcale w zakres tego artykułu. Tomy by całe o tem pisać trzeba. Naszym tutaj zamiarem jest tylko skreślenie stanowiska jakie gry od czasu do czasu zajmują w miejscowém społeczeństwie, a nie brak mu pewnéj wagi ani wpływu nawet, jakkolwiek ta waga i wpływ nie koniecznie charakteryzują się wynikach.

Nie przeto chcemy tu twierdzić żeby wszelkie gry były bezwzględnie naganne. Nie należemy ani chcemy należeć do téj nowéj szkoły surowych moralistów, którzy potępiają bez wyjątku wszystko co tylko nie nosi na sobie cechy wyraźnéj utylitarności Owszem gry w pewnym zakresie z zastrzeżeniem wszakże wszelkiego nadużycia uważamy za niewinniejszą rozrywkę od wielu innych, które znudzenie, fantazya, albo zepsucie wynajdują sobie. I śmiało twierdzić można, że o tyle gry stają się mniéj szkodliwe o ile mniéj dają pola do rozwinięcia zgubnych namiętności wytwarzających się przez pieniężną stawkę, główną ich ponętę często stanowiącą. Wtedy bowiem gry tak jak każde puszczenie na los tego co powinno być wyłącznie owocem pracy i zasługi, przeradzają się już w nadużycie prowadzące do powolnego niszczenia strony moralnéj człowieka, a często nawet do występku i zbrodni.

Jednak jak każdą rzecz która istnieje i która usunąć się nie da, gry trzeba brać i przyjąć tak jak są. Należy bacznie stać na straży, żeby nie przybierały zbyt rozgałęzionych rozmiarów, wypowiadać im jednak bezwarunkowéj wojny nie można, żyją one bowiem, żyły i żyć będą, pomimo wszelkich usiłowań pisarzy, moralistów i organizatorów społecznych. Zaznaczając więc ich istnienie skreślimy tu tylko po szczególe zakres ich i doniosłość u nas.

Karty.

— Wystaw sobie, mówił do mnie pewien obywatel ziemski, przyjeżdżam niedawno do sąsiada i potrosze krewnego, którego dawno już nieodwiedzałem.

— Czy państwo w domu! pytam stróża zamiatającego przed gankiem.

— A są; gdzieżby mieli być.

Wchodzę więc.

Jakaś uroczysta cisza panuje w całém mieszkaniu i dziwi mnie to nie pomału, bo do mojego sąsiada jako bardzo gościnnego, lubią się zjeżdżać wieczorną porą znajomi i obywatele okoliczni i rzadko kiedy bez gości się tam obejdzie. I rzeczywiście w pierwszym na prawo pokoju, który jest kancelaryą pana, zastaję rozłożony stolik od kart, a przy stoliku gospodarza domu wraz z trzema obywatelami okolicznym, i siedzących nad stosami kart szeroko rozłożonych i całem prawie suknem kredą zapisaném.

— To bezyk, pomyślałem sobie, odbył już widać z Warszawy te dwadzieścia mil drogi i zakwitnął tu na dobre. Niechże mu zielone sukno lekkiem będzie!

Sąsiad wyciągnął do mnie rękę, deklarując zamiast zwykłego powitania i zapytania mnie o zdrowie, czterech asów, które długo oczekiwane nadeszły mu wreszcie, a inni gracze kiwnęli tylko głowami poważnie, nie myśląc dla przybysza odrywać się od tak ważnego zajęcia.

— Nie ma tu co robić, pomyślałem sobie, widocznie jestem tym panom na przeszkodzie, pójdziemy daléj.

I wszedłem do salonu, do którego drzwi z kancelaryi prowadziły.

Ale tu inny widok. Pani domu z dwoma przyjaciółkami siedzą przy stoliku zajęte... grą w bezyka we troje, do zupełnego kompletu nie można było zebrać.

Przetarłem oczy, znając bowiem tę panią od dawna, wiedziałem że nigdy w życiu karty nie dotknęła, że wszelkie preferanse, wisty, gieryłasze i inne ulubione rozrywki wieczorne panów mężów, szwagrów, sąsiadów etc., były zawsze dla niéj martwą literą.

— Jakto? i panią nawet zastaję nad kartami? zapytałem po zwykłem powitaniu, więc pani gra w bezyka?

— Jak pan widzisz, odpowiedziała, dobierając w téj chwili kartę, jaka na nią wypadała, mam dwadzieścia pięć a myślałam że już nie przyjdą, te walety atutowe nie wiadomo gdzie się podziały.

I tu byłem także niewczesnym gościem, zostawiwszy więc te panie poszukiwaniom nad waletami atutowemi, udałem się w dalszą peregrynacyą po pokojach.

I co powiesz, zastałem jeszcze trzy stoliki bezykowe obsadzone graczami. Przy jednym syn gospodarstwa z siostrą czternastoletnią i dwiema panienkami z sąsiedztwa, grali tak zacięcie, że nawet uwagi na mnie nie zwrócili, daléj trzech studentów przybyłych na święta z pisarzem prowentowym i nareszcie w ostatnim pokoiku bona francuzka z trojgiem drobnych dzieci udzielała im sumiennie zasad gry bezyka.

To już było zanadto, wyszedłem drugą stroną i nie opowiadając się nikomu, nie żegnając się z nikiem, wsiadłem na bryczkę i pojechałem do domu, a ręczę, że jak mój przyjazd przeszedł prawie niepostrzeżony tak, i wyjazd niczyjéj pewnie nie zwrócił uwagi.

Opowiadanie to na pozór przesadne, rzetelném jest jednak w gruncie, rzeczywiście bowiem bezyk ma to do siebie, że ostatniemi czasami uogólizował grę w karty pomiędzy kobietami i dziećmi nawet. Osoby które w ży-

*) Artykuł ten opisuje zwyczaje i historye gier w Królestwie, lecz i do naszych stósunków zastósownym być może. (Przyp.Red.)

ciu swojém kart się nie tknęły, teraz grają namiętnie w bezyka.

Bezyk zaczyna odegrywać tę samą rolę w kartach, co dziennikarstwo w literaturze, jest wielkim popularyzatorem.

Na dowód tego jedyna książka której wydanie może w ostatnich czasach poszczycić się zupełnym rozkupem, nosi tytuł... Zasady gry bezyka.

Karty u nas mają swoje dzieje i przejścia, możnaby spisać całe roczniki cywilizacyi karcianéj.

A wierzajcie mi nie tak to blacha drobnostka, jakby się wydawać mogło, rodzaj bowiem gry na czasie we wzięciu będącéj, odbija na sobie stan społeczeństwa w pewnych terminach.

Przy końcu ośmnastego wieku w drobniejszych dworkach szlacheckich i mieszczańskich kółkach, kwitnęły maryaż i drużbart. Ta ostatnia gra, ulubiona była głównie przez rezydentów i służbowych. Były to gry spokojne, mało nastręczające pola do hazardu i przy zwiększonych nawet stawkach nie grożące zbyt dotkliwą przegraną.

A przy tem nie wiele trzeba było przy nich myśleć,



Fr. Armiński i Obserwatoryum astronomiczne w Warszawie.

bo najskromniejsze wysiłki myślenia, wstrętne były wówczas ogółowi.

Za to u dworu na wielkomiejskich i magnackich zgromadzeniach rozszerzały się w całym blasku gry hazardowne, jak faraon etc.

Przegrywano ogromne sumy i czego nie pochłonęły zbytki oraz spekulacye na bankach bankrutujących wówczas lawą całą, to topniało w kartach. Autor Soplicy w swoim Teofraście polskim zachował nam nazwiska i charakterystykę najzawołańszych szulerów, z których kilku nawet olbrzymie porobiło majątki, jakkolwiek zgodnie z przysłowiem, maleparta idzie do czarta, nie utrzymało się to jakoś.

Wojny Napoleońskie wprowadziły do nas gry czysto francuzkie, rumla, pikietę dawniéj już znaną i imperyała, (chociaż i wyżéj pomienionych gier pochodzenie jest także francuzkie, ale epoka wprowadzenia ich do nas daleko odleglejsza.) Szczególniéj imperyał był w modzie dla saméj już chociażby nazwy. Gry hazardowne utrzymywały się pomiędzy wojskowymi i w kółkach z niemi styczność mających, i nic dziwnego że ten, który przywykły był co chwila życie swoje stawić na kartę, mało sobie ważył przegranę, albo wygranę pieniężną.

Po r. 1815 zakwitnął u nas wist, gra poważna, surowa, milcząca, dyplomatyczna, wyręczany od czasu do

czasu bostonem, który również jak wist był pochodzenia angielskiego. Anglicy uwięziwszy Napoleona na wyspie św. Heleny, zątryumfowali i przy zielonym stoliku. Nie zaniedbywano jednak i gier hazardownych, w Warszawie utworzyły się szulerskie kółka, gdzie chodzono na grę wyłącznie. Po jarmarkach i zebraniach małomiasteczkowych ukazywali się zawołani szaleńcy, wabiący do siebie niedoświadczoną młodzież, która trochę poszumieć pragnęła. Przegrywano czasami wielkie sumy, straty jednak nie były widoczne przy wzrastającym ogólnie dobrobycie. Były kółka w Warszawie, gdzie potrafiono pierwotnego, spokojnego, rachunkowego wista za pomocą bardzo wysokiéj stawki przerobić na grę hazardowną. Złoto sypało się, ale złota było podostatkiem.

I chociaż wist nie utracił nic prawie z powagi swojéj gra francuzka rumel poczęła na nowo wchodzić w użycie. I trwało to, aż dopóki nie zjawił się preferans, któremu właściwego pochodzenia oznaczyć trudno, a który na długi czas despotycznie owładnął wszystkiemi tutejszymi karcianymi zwolennikami.

Rzeczywiście preferans wyrosł z Wołoszyna, który był odmianą w jednostajności wista, zaprowadzony głównie przez tych, dla których ta ostatnia gra nie dość nastręczała losowych wrażeń.

Preferans uorganizowawszy się w prędkim czasie, wista nawet za sobą pociągnął i do swojéj normy zmodyfikował. ostatecznie już rumla oraz inne gry w użyciu będące na drugi plan odsunąwszy. Grano preferansa w Warszawie w obu resursach, po domach prywatnych, dworach wiejskich, w przedpokojach nawet, gdzie tylko dał się zmieścić stolik od kart z zeloném suknem dla pisania na niem kredką. Bo w preferansie, i to właśnie jest główną charakterystyką téj gry, kredka przeważała, nie trzeba było gotowemi pieniędzmi płacić, jak w ćwika lub wołoszyna, albo markować jak w wista, wszystko tam szło buchalteryjnie na credit i debet. Zaprowadzano w preferansie różne zmiany i ulepszenia, głównym jednak ich celem było podwyższenie stopy gry tak, że preferans coraz więcej zmieniał się na grę hazardowną. A to do tego stopnia, że przez pewien czas zachwiał on powodzeniem właściwych gier hazardowych faraona, sztosa, landsknechta nawet. Nie liczy się to jemu za zasługę, u ogólizował bowiem to co dotąd wyjątkowém było nadużyciem. Preferans po dwa złote, albo pół rubla punkt a o takie partye nie trudno było w Warszawie, do setek a nawet do tysięców sprowadzał jednowieczorną przegraną i wygraną, a ofiary zawistnego losu pocieszały się tylko tém błogiem przekonaniem, że się zgrały w grę komersyjną. W resursie kupieckiéj istniało kilka partyi po pół rubla, po rublu nawet. Odznaczały się one czterema świecami przy stoliku, jak gdyby wyższa gra więcéj światła potrzebowała. Gorżka ironia! Mówiono nawet o partyach preferansa po pół imperyale i więcéj, ale partye te zamykały się w czysto prywatnych kółkach, były to prawdziwe domy gry, które pomimo publicznego zakazu pokątnie rozpościerały swe panowanie.

Zdarzało się, że w takich partyach wprędce topniały całe nawet majątki. I nie jednemu dziwném się zdawało, że ten albo ów grając tylko skromnie w preferansa w jednym roku, albo dwóch zrujnował się prawie kompletnie, ale zapominano, że ten wróg społecznego dobrobytu niebezpieczniejszym jest od saméj rulety, bo w rulecie nawet ograniczona jest wstawka, preferans zaś nie zna granic.

Hazardowni szulerzy z rzemiosła otrzaskawszy się z ogniem w warszawskich szrankach karcianych, jeździli za granicę dziwić Niemców i Francuzów nieustraszoną niczém przy zielonym stoliku odwagą. Jeden z tych panów wygrawszy w Wiedniu ogromne sumy (przeszło milion złp.) stawił całą tę kwotę od razu na kartę i dla zbudowania Wiedeńczyków, w chwili kiedy talię ciągnięto odwrócił się od stolika, rozkazując sobie służącemu ognia do fajki. Tym razem szczęście mu nieposłużyło i oddawszy na pastwę zawistnego losu całą wygranę, straciwszy nawet zapas gotówki jaki przywiozł z sobą, powrócił do Warszawy z pustemi kieszeniami, z tą jednakże pociechą w sercu, że zadziwił Wiedeńczyków bohaterstwem swojém karcianém.

Preferans także stawał się dla niektórych prawdziwém rzemiosłem. W grze téj, początkowo zwłaszcza, obok szczęścia umiejętność wiele bardzo znaczyła, gracze więc wytrawni i umiejący wszelkie szanse obliczyć mieli rzeczywistą wyższość nad prostaczkami. I zdarzało się że w droższych partyach. ludzie posiadający zapasy pieniężne sadzali do gry doświadczonych szermierzy preferansowych, odstępując im pewien procent z wygranéj, a przegraną biorąc całą na swój rachunek. I jedna i druga strona dobrze na tem wychodziła, bywali nawet szczęśliwi zastępcy, którzy z tego procentu od wygranéj potrafili sobie wyrobić po kilkanaście tysięcy złp. dochodu na rok.

Tym więc sposobem zjawił się u nas nowy rodzaj karcianego przemysłu.

Kiedy brak pieniędzy stawał się coraz dotkliwszy, preferans postanowił symbolicznie zaznaczyć u siebie i tę okoliczność. Wprowadzono więc do preferansa tak zwane mizerki, to jest deklaracye zupełnego ubóstwa w karcie. Ale komplikacya ta w rzeczywistości jeszcze bardziéj stopę gry podwyższająca, nie utrzymała się długo.

Gieryłasz, to jest wist grywany z dziesiętnym rachunkiem bez koloru odświętnego i pałki, gra więcéj hazardowna niż komersyjna na rachunku zależąca, groźne zrazu czynił dla preferansa dywersye, przetrwał on jednak zwycięzko tę szkopuły i dopiero wist z licytacyą, szczęśliwe połączenie preferansa i wista, zachwiał na chwilę powodzeniem tego olbrzyma kartowego.

A stało się to już w czasach nie bardzo od nas odległych; nowa ta odmiana wista pociągnęła do siebie graczów tak zwanych myślących, którzy z gry chcą zrobić naukę, rodzaj matematycznego zadania. Więc karciarze podzielili się na dwie partye, preferans pozostał grą **zarobku**, wist zaś ustanowił się grą **rozrywki umysłowéj** rodzajem turnieju karcianego. Grający dobrze w wista ciągneli z tego sławę i zasługę sobie przypisywali, jak gdyby w tego rodzaju **wyższości** mogła być na prawdę jaka zasługa. Jeżeli gra rzeczywiście trudna i potrzebuje wysilenia umysłowego, to lepiéj to wysilenie na co korzystniejszego spożytkować. Przyznajemy jednak szczerze, że wolimy tych **geniuszów** wistowych, których pod owe czasy sporo się u nas namnożyło, aniżeli szulerów preferansowych, grających wyłącznie dla wygranéj i uważających grę za pracę mającą zysk przysporzyć.

Takie wszakże rozdwojenie nie mogło się dłużéj utrzymać. Raz zachwiany preferans został jeszcze podkopany i rumlem, który wynalazłszy sobie rubikona stanowiącego znaczne podwyższenie gry, rugował powoli starego swojego współzawodnika ze stolików resursowych. A ponieważ resursa kupiecka jest jak gdyby akademią u nas gier komersowych, akademią wydającą nieodwołalne wyroki, więc preferans relegowany ostatecznie na prowincyę, tułał się już tylko jako zastarzały przesąd po dworach obywatelskich i zebraniach małomiasteczkowych.

Aż wreszcie zabłysło światło i stał się... bezyk.

Bezyk jest jednym z ważniejszych rezultatów postępu jakie ułatwione przez koleje żelazne stosunki z zagranicą sprowadziły do nas.

We Francyi bezyk uważany jest za grę kawiarnianą i pospolitą, w dobrańszych kółkach nie bywa on przyjętym, ale wszak przesadne stroje, w których szanująca siebie Paryżanka nie poważyłaby się pokazać na ulicach stolicy miewały często wzięcie u nas.

Kto nam przywiózł bezyka i jakim sposobem gra ta weszła w powszechne przyjęcie, zagadka dotychczas

pozostaje nierozwiązaną. to jednak pewna że resursa kupiecka wypowiedziała już o bezyku ostatnie słowo, poparte drukowanym regulaminem i że wszędzie zapanował on na dobre a rozszerza się ciągle.

Ta epidemia bezykowa rzeczywiście zastraszające przybiera rozmiary.

Napróżno resursa obywatelska oponuje bezykowi niewinnego wista z licytacyą, który odepchnięty od starszéj siostry poszedł do młodszéj szukać schronienia, nadaremnie zadawniali lubownicy rumla i preferansa usiłują powstrzymać prąd ciągle rosnący, bezyk idzie niepowstrzymanie jak wylew morza, ogarniając ludzi wszystkich wieków, płci i stanów, i zdwoiwszy od razu za pojawieniem się swojém zwykły rozchód kart w kraju.

Bo bezyk gra szulerska, a przynajmniéj nastręczająca pole do wysokich bardzo różnic w przegranéj i wygranéj, jest zarazem dla każdego przystępną i znamy kobiety, które nigdy w swojém życiu kart się nie tknęły gorąco zapalone do bezyka.

Wielka zaprawdę musiała istnieć próżnia w społeczeństwie naszém, kiedy ten miazmat kartowy tak się rozszerzył nagle i zwycięzko. Niepocieszający to stan zaiste, tém bardziéj, że jeżeli wist z licytacyą albo nawet preferans potrzebują jakichbądź zdolności, to bezyk żadnych nie wymaga i wtém może głównie leży tajemnica jego powodzenia. Jest to olbrzymie trente et quarante, urządzające filie swoje po wszystkich niemal domach, jest to odjęcie kartom téj nawet ostatniéj choć małoznacznéj zasługi, że trzeba myśleć nad niemi.

Ale starczy na zabicie czasu, więc cel osiągnięty, a chociaż mnoży się coraz więcéj ludzi potrzebujących zarobku a nie mogących go znaleźć, to w miarę tego zwiększa się także liczba ludzi niezajętych, pragnących ukrócić sobie czas i tak szybko płynąc a niewiedzących czém go zapełnić.

Peryodyczne zwiększania się epidemii karcianych są niezawodnem dowodem upadku umysłowego. (C d. n.)

Słów kilka o malarstwie i malarzach w Polsce.

(Ciąg dalszy.)

Straszna katastrofa 1794 r. w ogólnym potopie pochłonęła i sztuki, a przynajmniéj rozwój ich na czas pewien przerwała. Następne lata zapełnione wielkiemi wojnami, także nie były dla muz dogodnymi. Z wyjątkiem jednéj poezyi, wszystkie inne sztuki potrzebują choć względnego spokoju, i dobrobytu społeczeństwa. Tymczasem w Polce, po rozbiorze, Warszawa osamotniała i upadła, król, sztuk miłośnik, pojechał dogorywać do Petersburga, magnaci rozbiegli się po świecie, półpankowie zniszczeni, zrujnowani, pozamykali się na wsiach. Nie było komu obrazów zamawiać nie było malować dla kogo. Wyjąwszy nie wielu miernych, jak Bacciarelli, inni artyści cudzoziemcy opuścili kraj nieszczęśliwy, gromadka młodych talentów poleciała po naukę i wzory na południe. Gdy późniéj lepsze nastały czasy, to znów, któż w obec wielkiéj gry prowadzonéj przez Napoleona na szachownicy europejskiéj, miał czas i ochotę zajmować się sztukami? Wszystkie siły materyalne i moralne narodu zwrócone były w tę stronę, gdzie się losy świata i Polski rozstrzygały. Oprócz tego bieda była w kraju wielka, brak pieniędzy niezmierny, a krajowi potrzebniejsze były armaty i karabiny, jak najpyszniejsze arcydzieła W takich warunkach sztuki, a wśród nich malarstwo, kwitnąć nie mogły.

Jednakże kilka młodych talentów, jeszcze przed katastrofą wykształconych, ciągnęło daléj, przez poprzedników rozpoczęte dzieło, i wiązało jedną, a nieprzerwaną nicią epokę Stanisławowką z tą, która przyjść miała.

Na czele téj nie licznéj gromadki, stoi oryginalna postać A l e k s a n d r a O r ł o w s k i e g o, malarza o talencie olbrzymim, zakrawającym na geniusz prawie, a który dziś i zawsze świecić będzie jako gwiazda pierwszego rzędu, w plejadzie polskich artystów.

Urodził on się w Warszawie r. 1777 a dzieckiem jeszcze wraz z rodzicami przeniósł się do Siedlec, gdzie ojciec jego wziął dom zajezdny w dzierżawę. W dziecinie już przyszłe powołanie było widocznem. Bosy i umorusany chłopak, o nosku zadartym i dowcipnych a bystrych oczach, po całych dniach, i po wszystkich ścianach oberży rysował węglem szkice, karykatury i sceny miejscowe. Szczęście mieć chciało, że w oberży téj stanęli kiedyś księstwo Czartoryscy, a zobaczywszy utwory młodego artysty wzięli go w swoją opiekę i oddali pod kierunek Norblina. Nauczyciel pokochał się w sprytnym, swawolnym; ale niesłychanie uzdolnionym i równie poczciwym chłopcu, i zajął się nim serdecznie. Orłowski też postępy robił niezmierne. Ale przyszedł rok 1794, naród stanął do walki o śmierć i życie, Kościuszko szedł od Krakowa z laurem Racławickim, Kiliński Warszawę na jego przyjęcie uprzątnął.

Orłowski pomimo prośb Narblina porzucił ołówki i pędzle a porwał za oręż. Wypadki te, zaszczyt przynoszące artystom naszym i myślicielom, są u nas bardzo liczne. Najgienialniejsi nasi malarze, pisarze, aktorowie, jak Orłowski, Mochnacki, Słowacki, Owsiński, Żółkowski i inni, w chwili danéj, niezasłaniając się pozorem, że się na co innego przydać mogą. walczyli jak prości żołnierze, bo czuli, że w chwili walki, kraj przedewszystkiem żołnierzy potrzebuje...

Raniony jednak pod Zegrzem 17letni Orłowski, już z pod Łomży wrócić musiał, a dochodząc do Warszawy, w jakiéjś karczmie pod Wolskiemi rogatkami obrał sobie siedzibę i najspokojniéj w niéj zamieszkał, prawdziwie po artystycznemu nie troszcząc się o jutro.

Na szczęście Narblin dowiedział się o tém i młodego szaleńca wydobył z tego... wcale niepoetycznego ustronia. Na drugi dzień Orłowski w prześlicznym i pełnym humoru szkicu, scenę tę odnalezienia uwiecznił. W rok czy dwa lata potem, nieukończony i fantazyjny uczeń pogniewał się z samym mistrzem, i ażeby go ukarać porzucił jego szkołę, a zaciągnął się do trupy skoczków i hecarzy, jaka wtedy w Warszawie bawiła. Szaleństwo to jednak trwało niedługo, bo Aleksander przeprosił Narblina, który mu téż z radością wybryk przebaczył I ten szczegół swego życia Orłowski uwiecznił, wyrysowawszy siebie na koniu z bębnem, zwołującego ludzi na hece. Wysoki, silnie zbudowany, przystojny, olbrzymiéj siły w ręku, zdrowia żelaznego, wesoły, dowcipny, lubiący zarówno pracować jak hulać, Orłowski był ulubieńcem kobiet i młodzieży zarówno w Warszawie, jak w Petersburgu. Najprzód pokochał się w nim ks. Józef Poniatowski, płacił mu dukata dziennie dawał konia i mieszkanie pod warunkiem tylko, by artysta wieczory spędzał pod Blachą. Orłowski książęcą tę hojność odpłacał po królewsku. Co wieczór sypał wśród rozmowy rysunki i szkice piórem lub ołówkiem, które do dziś dnia znajdują się w Jabłonnie.

Mało bo było malarzy równéj płodności i łatwości jak Orłowski. Gdy potem w starości zaczął się podchmielać (a w takim stanie robił najwięcéj i najlepiéj) umyślnie rozkładano na stołach przyrządy do rysunku,

a wtedy artysta, sam jakby niewiedząc o tém, wciąż bawiąc się, rozmawiając i śmiejąc, chodził od stołu do stołu i rzucał szkice i rysunki, które znawcy moskiewscy i angielscy wyrywali sobie i złotem przepłacali.

Olejno robił nie wiele, i mniéj mu się ten rodzaj udawał. Mistrzem był w robotach gwaczowych, w rysunkach piórem, kredą, ołówkiem, tuszem, i w akwarellach. Ilość jego robót tego rodzaju jest nieprzeliczona, a każdy zbiór w Polsce i Rosyi ma po kilkanaście tych pysznych szkiców. Wiele ich także zakupowali Anglicy a cały zbiór jego robót jest w posiadaniu syna Narblina w Paryżu. W Warszawie najwięcéj ich się znajduje u hr. Augusta Potockiego, u księżnéj Radziwiłłowéj, u p. Kwitkowskiego i u p. Rastawieckiego.

Szkice te jego przedstawiają sceny najrozmaitsze: bitwy, sceny z życia ludowego, typy Kozaków, Baszkirów, Żydów, Moskali, Polaków kontuszowych, rózbójników, rycerzy i t. d. wszystko pełne życia, prawdy, dowcipu i werwy. Umiał on jednym rysem wlać właściwy charakter w twarz każdą, a każdą śmieszność dopełnić i uchwycić. Obrazy jego bitew odznaczają się niezmiernym ogniem, i sztuką grupowania, a konie szczególniéj, w niczem nie ustępują Vernetowskim.

Mimo tego wszystkiego w życiu wielkiego artysty jest fakt smutny. Ochotnik z 1794 r. już w 1802 r. opuścił wielbiącą go, ale nie dość płacąca mu Warszawę i przeniósł się do Petersburga, gdzie dopiero w 1832 r. umarł. Prawda że Petersburg go ocenił. Nadworny malarz księcia Konstantego, pieszczony, wielbiony, przepłacany przez całą arystokracyę, Orłowski mógł zadowolnić wszystkie swe fantazye i gusta, których miał nie mało.

Nie licząc już uczt i biesiad wspaniałych, miał on np. fantazyę ubierania się w najkosztowniejsze kostiumy wschodnie. Dziś chodził jak Pers, jutro jak Turek, potém jak Greczyn, Czerkies i t. d. Prócz tego z prawdziwą namiętnością zbierał starożytności krajowe, a zbiór po nim pozostały, kupił za bardzo wysoką cenę wielki książę Michał.

Wszystko to jednak nieusprawiedliwia artysty, który ogromny talent oddał na usługi wrogów, tém bardziéj, że do ostatniéj chwili czuł się Polakiem... Z instynktu sybaryty, ztąd potrzeba zarobku, zresztą pragnienie szerszego pola i rozgłośnéj sławy, przemogły znać tęsknotę do ojczyzny.

W każdym razie, jest to artysta zaszczyt przynoszący malarstwu polskiemu, talent tém potężniejszy, że jak widzieliśmy, nigdzie za granicą nie był i prawdziwych arcydzieł nie widział.

Rówiennikiem jego, kolegą w szkole Narblina, i zbliżający się doń talentem, choć prawie zapomniany jest młodozmarły Michał Płoński. Piękna to i sympatyczna postać Był to więcéj rytownik jak malarz, choć i olejno i al-fresco jego obrazy i portrety, głównie w Nieborowie się znajdujące, wielkich mają być zalet. Pracując długo w Danii i w Hollandyi, przejął się szkołą flamandzką. W Paryżu bardzo wysoko ceniono jego sztychy i płacono mu po 10 luidorów dziennie. Ale tęsknota do ojczyzny kazała mu wielkie i wdzięczne miasto opuścić. Sprzedał swoje blachy, i z tłomoczkiem na plecach, malując po drodze portrety, przywędrował do Warszawy w r. 1810 gdzie żył z robienia małych portretów akwarellą, po dukacie za sztukę.

Dukat znaczył wtedy 18 złotych. Gdy mu ktoś zapłacił złotem dukata wartującego 20, Płoński zdał reszty dwa złote, i w żaden sposób zatrzymać ich niechciał. Taka była bezinteresowność téj duszy cichéj a szlachetnéj. W krótce jednak dostawszy pomięszania zmysłów, umarł w szpitalu Bonifratrów w r. 1812 licząc lat 34 życia. Blachy przez niego ryte bardzo drogo były płacone w Paryżu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Franciszek Armiński
i Obserwatoryum astronomiczne w Warszawie.

(Z ryciną.)

Franciszek Armiński urodzony w r. 1789 w górach Karpackich, początkowe wychowanie odebrał w Krakowie, gdzie też następnie walcząc z ubóstwem kursa filozofii i matematyki ukończył. Z Krakowa przeniósł się do Warszawy dla dalszego kształcenia. Za grosz szczędzony z lekcyi prywatnych w roku 1811 wyjechał do Paryża, gdzie przy pomocy Dalambra i Arago, jako też opiekuna swego Maliszewskiego, głębokie studya astronomii ukończył. Rząd francuzki poruczył mu dyrekcyę obserwatoryum na Isle de France, lecz namowy rodaków i chęć służenia ojczyznie zniewoliły go do odmowy i powrotu do kraju. Z początku pełnił obowiązki nauczyciela matematyki w Liceum Warszawskim i kolegium księży Pijarów. Po roku téj pracy ówczesna Komisya Rządowa Wyznań Religijnych i Oświecenia, ofiarowała mu katedrę astronomii w tworzącym się ówczas Uniwersytecie warszawskim.

Wiedząc, że teorya bez praktyki nie wielkie przynosi owoce, wszystkie starania swoje zwrócił ku wyjednaniu funduszu na wystawienie gmachu i zakupienie narzędzi astronomicznych. W r. 1829 obserwatoryum zostało przez Armińskiego ostatecznie urządzone, i od tego czasu w niem wszelkie spostrzeżenia są regularnie prowadzone. Obok tego Armiński na zlecenie ministra skarbu oznaczył położenie geograficzne różnych miejsc b. województwa Sandomierskiego, tudzież urządził obserwatoryum w b. konwikcie księży Pijarów na Zoliborzu. Pomimo tylu zatrudnień Armiński ogłosił kilka prac swego pióra w Pamiętnikach b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Od roku 1830 przestawszy być profesorem, pozostał na posadzie dyrektora obserwatoryum astronomicznego; teraz znalazł więcéj chwil wolnych, pracował w zawodzie pisarskim, lecz wszystkie te prace pozostają dotąd w ukryciu. Umarł w r. 818, zostawiwszy po sobie pamięć męża prawego i zasłużonego dla oświaty krajowéj.

Łamigłówka.

za
Wie za win dzie prze ny dzać 
za

(Rozwiązanie szarady w nr. 25: ***Anna***.)

Korespondencya Redakcyi.

Panu Kujaw. z nad Pr.: Dziękujemy.

Panu Piotrowi i Pawłowi w Ustroniu. Takt jest zajmujący i dobrze opisany, ale w piśmie naszem drukowanym być nie może. Wielkość artykułu w stósunku do wielkości Sobótki, jest nie odpowiednia.

Panu Ż. w Raszkówku. Zdawało się nam dotąd, że tajemnice szaradowe i zagadkowe dla Pana nie istnieją; mylne jednak rozwiązanie przedostatniéj, opinię naszą zmienia. Errare humanum est.

Panu poecie w Ostrowie:

„Dość już długo, dość już długo,
„Brzmiał na strunach wieszczów żal.
„Czas uderzyć w strunę drugą,
„W czynów stal.“